

Detektyw „Micki” Dee Dare odebrała telefon, kiedy już miała wchodzić pod prysznic. Szefostwo wzywało ją do śródmieścia. Na jednej nodze, powiedzieli. Ograniczyła się więc do szybkiego mycia, które jej przeklęta rodzinka nazywała „kąpielą dziwki” – bo prostytutka między klientami nie miała czasu na porządną toaletę – i związała niesforne ciemnoblonde włosy w niedbały koński ogon. „Rodzinka”. Śmiechu warte. Mama, babcia Roberta, ciotka Jo – trzy wariatki. Tak naprawdę wcale nie chore umysłowo. Po prostu stuknięte baby, jak to na Południu. Spieczone słońcem, nażłopane herbatą z cukrem i zalane tarninówką. I jeszcze ten brutal, wuj Beau. W milczeniu skradał się korytarzem, zdradzała go woń tanich cygar i bourbona. Na wspomnienie tego zapachu nadal kręciło ją w żołądku.

Nic dziwnego, że sama była tak cholernie... no, taka bez ładu i składu.

– Wybacz, Hank – mruknęła, a głos przyjaciela z silnym teksańskim akcentem wypełnił jej głowę: „Wcale nie jesteś porąbana, mała. Jesteś niedokończonym dziełem, tak jak my wszyscy”.

Hank... pokonała go awaria pikawki. Zawsze uważała jego śmierć za okrutnie ironiczną. Zabiło go to jego wielkie dobre serce, które czy- niło z niego jedyne go porządnego człowieka, jakiego Micki znała.

Wjechała chevroletem nova 396 V z 1971 roku na policyjny parking przy ulicy Broad. Auto należało wcześniej do Hanka. Kiedy przyprowadził je ze szrotu, było zaledwie zepsutym kadłubem, ale Hank miał marzenie przywrócić mu dawną świetność.

Nie udało mu się go spełnić, ale Micki zrobiła to za niego. Zarazem odbudowała własne życie, mając za przewodnika i pocieszyciela głęboki, pewny głos przyjaciela. Z powodu Hanka wstąpiła do policji.

Jej chevrolet był czymś więcej niż tylko środkiem transportu, był dumą i radością, był jej dzieckiem. Uwielbiała to auto, przepadała za nim.

Zaparkowała i wysiadła. Przez telefon szef sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Oby tylko nie wpadła w sidła zastawione przez Wydział Etyki Zawodowej, który zajmował się przypadkami nadużyć w szeregach policji, skargami na postępowanie policjantów i tym podobnymi sprawami. Nie to, żeby miała coś do ukrycia, ale wiadomo, człowiek nie zna dnia ani godziny, kiedy się do niego dobiorą.

Weszła do budynku komendy i wjechała windą na drugie piętro. Major Nichols powiedział, że będzie czekał w biurze kapitan Patti O’Shay. Recepcjonistka pokazała jej drogę do sali konferencyjnej. Micki poszła korytarzem we wskazanym kierunku, coraz bardziej zaniepokojona nietypowym obrotem spraw.

Nacisnęła klamkę i weszła do środka. Zdecydowanie coś jest na rzeczy. Zbyt wielu garniaków. Niektórzy patrzą na nią dziwnie. Nawet bardzo dziwnie.

Namierzyła przełożonego.

– Przepraszam, szefie, że nie dałam rady wcześniej dojechać.

– Nie szkodzi. Zjawiasz się w samą porę. Znasz kapitan O’Shay?

– Oczywiście. – Micki przywitała się skinieniem głowy. Nichols przedstawił pozostałych: Krohn, zastępca komendanta policji; Richards, szef komórki współpracy ze społecznościami lokalnymi; oraz Roberts, szef biura FBI w Nowym Orleanie.

Agent pokiwał głową.

– Miło panią poznać, pani detektyw.

No dobrze, nie ma WEZ, jest FBI, pomyślała. Co jest grane? Poczula się, jakby na dnie jej żołądka zaległ ciężki kamień.

– Nawzajem, agencie Roberts.

Nichols, nie patrząc jej w oczy, pokazał na krzesło stojące po drugiej stronie stołu.

– Usiądź, Micki. Za chwilę przyjdzie Howard.

Usiadła. Nikt się nie odezwał. W sali zapanowała dziwna atmosfera.

Micki czuła na sobie ich dociekliwe spojrzenia.

Co się, u diabła, szykuje?

Wszedł komendant Howard, jak zawsze elegancki i pewny siebie – i wyjątkowo rozentuzjasmowany.

– Gdzie detektyw Dare?

– Tutaj, panie komendancie – odezwała się, wstając. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ach, tu pani jest. Doskonale. – Podeszedł do niej i podał jej rękę. – To dla pani ważny dzień. Bardzo się cieszymy. Jesteśmy zachwyceni.

– Dziękuję, panie komendancie – odparła.

Komendant uściskał jej rękę i zamiast szybko puścić, długo nią potrząsał, a potem jeszcze zamknął w swoich dłoniach. Spojrzał Micki w oczy.

– Proszę pamiętać, że wiele po pani oczekujemy.

– Tak jest, panie komendancie. Gdybym tylko wiedziała, w związku z czym...

Roześmiał się głośno, puścił jej rękę i dał znak pozostałym osobom.

– No, siadajcie, siadajcie.

Jak można było się spodziewać, sam zajął miejsce u szczytu stołu.

Spojrzał na Micki.

– Major Nichols dowiedział się oficjalnie przed dwiema godzinami, ale sygnały odbieraliśmy już od kilku tygodni. Otóż policja się zmienia, pani detektyw. I to od dziś. Pani zaś będzie częścią tych zmian.

Zawiesił głos, najwyraźniej czekając na reakcję. Uraczyła go standardowym ogólnikiem.

– Bardzo się cieszę, panie komendancie. Nie zawiodę.

Pochylił się i z nieskrywanym błyskiem satysfakcji w oczach powiedział:

– Proszę posłuchać, w czym rzecz. Otóż rząd oficjalnie potwierdził istnienie szóstego zmysłu. We współpracy z FBI zainicjowano program o nazwie Szóstki. W skrócie chodzi o to...

– Przepraszam, panie komendancie, ale czy użył pan określenia:

„szósty zmysł”? Chodzi o czytanie w myślach, przesuwanie przedmiotów siłą woli i tak dalej?

– Owszem, pani detektyw. O to właśnie chodzi.

Czekała, aż komendant się roześmieje. A pozostali do niego dołączają.

Spodziewała się, że robią ją w wielkiego balona.

Nie była przygotowana na coś... takiego. Ze wszystkich sił starała się nie wyglądać jak rażona piorunem.

– Jak zatem mówiłem – podjął wątek – biuro powołało zespół złożony z owych Szóstek, obdarzonych...

Zawiesił się, nie bardzo wiedząc, jak nazwać ich kwalifikacje: darami?

Talentami? Supermocami?

– ...zdolnościami – dokończył po chwili. – Następnie wyszkolono tych ludzi w wyspecjalizowanej akademii policyjnej. Pierwszy rzut rekrutów ukończył szkolenie...

– Nie mam dziś urodzin – przerwała mu Micki, przenosząc spojrzenie na swojego bezpośredniego przełożonego. – Wiecie o tym, prawda?

– Słucham?

– Panie komendancie, nie wiem, kto ani jak pana w to wkręcił, ale...

– To nie żart, pani detektyw.

Rzeczywiście, miał śmiertelnie poważną minę, zresztą tak jak pozostali. No, ale przecież nie ma siły, to musi być kawał. Szósty zmysł? Wyspecjalizowana akademia policyjna? Przecież to jakieś brednie!

– Rozumiem, kręcicie Mamy cię albo coś w tym guście. Namówili pana. Pewnie obiecali hojny datek na rzecz policji. Przykro mi, że psuję wam zabawę, ale dowcip nie wypalił.

Odwróciła się i rozejrzała za kamerami.

– Możecie przestać filmować. No już, pokażcie się. Spróbujcie z kolejnym naiwnym.

Spodziewała się, że ujrzy uśmiechniętego prowadzącego i kamerzystów. Może nawet zabrzmiał temat z programu i posypie się konfetti.

Stanie się coś, co rozwieje niezręczność. Czowała się, jakby wszyscy poza nią wiedzieli, że do jej buta przykleił się kawałek papieru toaletowego i ciągnie się za nią.

Tym, który przerwał ciszę, był major Nichols.

– Micki, lepiej usiądź. To poważna sprawa. Zdumiona opadła na krzesło.

– Przepraszam, panie komendancie – powiedziała. – Ale będę szczerą: zaczynacie mnie przerażać.

Zarechotał.

– Zareagowałem podobnie. Długo musieli mnie przekonywać, że nie stoi za tym moja żona. – Pochylił się. Dłonie trzymał złożone na blacie. – Wiem, że to, co pani usłyszysz, wyda się pani... osobliwe, ale to wszystko prawda. Pierwszy rzut rekrutów ukończył szkolenie. Cała dwunastka.

Zrobił przerwę dla wzmocnienia efektu. Chciała go ponaglić, ale sama nie wiedziała, czy ma ochotę usłyszeć, co komendant ma do powiedzenia.

– Policję Miasta Nowy Orlean wytypowano jako jedną z tych, do których w pierwszej kolejności trafia rekruci. Naszego przydzielono do Ósemki. Zatem gratulacje, pani detektyw Dare, będzie pani miała nowego partnera.

Micki patrzyła na niego i nie mogła uwierzyć. Jak to? Chyba nie mówi poważnie...

– Wkrótce go pani pozna. Nazywa się Zach Harris.

Dopiero po chwili dotarło to do niej z pełną mocą. Zerwała się z krzesła.

– Panie komendancie, z całym szacunkiem, ale – do cholery! – nie ma mowy.

– To już postanowione.

Spojrzała na majora, szukając wsparcia, ale nie znalazła go. Była sama przeciw wszystkim.

– Panie komendancie, naprawdę, niech pan znajdzie kogoś innego.

– To oni panią wybrali, pani detektyw, nie ja. Proszę wziąć przykład ze mnie i potraktować to jako zaszczyt.

– „Zaszczyt” – powtórzyła. – Nie rozumiem, w jaki sposób...

– Ma pani okazję przejść do historii – przerwał jej Howard. – Tak jak my wszyscy. Proszę nie utrudniać.

– Dobierają Szóstki do pary z najtwardszymi, najbardziej doświadczonymi policjantami – odezwał się Nichols. – Do twoich obowiązków będzie należało między innymi pilnowanie, żeby twoja Szóstka nie wpakowała się w tarapaty. Rząd zainwestował w niego zbyt wiele czasu i pieniędzy, żeby sprzątnął go na ulicy jakiś oprych albo członek gangu. Przyszła jej do głowy riposta – że nie będzie niańką – ale spojrzenie

Nicholsa wystarczyło, by postanowiła zachować ją dla siebie.

– Co to za gliniarz, ten cały Harris? – zapytała. – Jaki ma przebieg służby?

– Nie ma żadnego.

– Nie rozumiem. Skoro jest detektywem... – Olśniło ją. – Chcecie powiedzieć, że ukończył ten wasz Hogwart od razu w stopniu detektywa? Z ich min wywnioskowała, że się nie pomyliła. Poczwała rosnącą złość.

Sama, tak jak pozostali – szef, komendant i inni – musiała zasłużyć na stopień, spełniać powinność, nadstawiając karku nie raz, nie dwa, ale każdego cholernego dnia.

– Do ciężkiej cholery. Czy on w ogóle potrafi używać broni? Komendant Howard zignorował pytanie.

– Szóstki to ściśle tajny program. Wiedza o nim nie może się wy- dostać poza krąg bezpośrednio w niego zaangażowanych. Umawiamy się, że dla wszystkich poza osobami obecnymi w tym pomieszczeniu detektyw Harris to zwyczajny policjant.

Powoli docierał do niej obraz sytuacji. Pokręciła głową.

– Jak mam wytłumaczyć, skąd się wziął?

– Proszę się za to nie brać. Po prostu pani partner został przeniesiony wyżej, więc sparowano panią z Harrisem – ot, cała historia.

– Czy dobrze rozumiem? Carmine dostał awans, ale zamiast zastąpić go kimś z komendy, sprowadzacie tego całego Harrisa?

– Zgadza się. Pokręciła głową.

– Niektórzy ostro się wkurzą. Od ręki mogę wymienić z pół tuzina lepszych kandydatów, w samej tylko Ósemce.

– Proszę się tym nie przejmować.

To nie wchodziło w rachubę. Była przecież częścią zespołu.

– Skoro nie mogę powiedzieć prawdy, to co mam mówić? Jaka jest oficjalna wersja? Oby brzmiała przekonująco, bo inaczej wystawicie mojego nowego partnera do odstrzału.

– Już tłumaczę, pani detektyw – odezwała się kapitan O'Shay. – Otóż Zacha Harrisa łączą z nowoorleańską policją więzy rodzinne.

Patti O'Shay rozbiła szklany sufit w policji Nowego Orleanu i stworzyła przestrzeń dla nowego pokolenia policjantek. Na przykład dla Micki. Niektórzy utyskiwali na nepotyzm, wskazując na jej osobiste powiązania w policji, choćby z mężem Sammym, ale zdaniem Micki, krzykaczami kierowała po prostu zawiść. Patti O'Shay bez dwóch zdań zasłużyła na swoje stanowisko.

– Więzy rodzinne? Niby kto miałby być jego rodziną? – spytała Micki.

– Ja.

– Nie rozumiem.

– Sammy miał młodszą siostrę, Erin. Kiedy miała siedemnaście lat, uciekła z domu ze swoim chłopakiem. Rok później urodziła synka.

– Zacha Harrisa?

– Tego się będziemy trzymali. Oddała go do adopcji. – O'Shay podała Micki teczkę z dokumentami. – Zach nieświadomie poszedł w ślady wuja i wstąpił do służby.

– Na razie wszystko się klei. Jak trafiliście na jego trop?

– To on dowiedział się o nas. Szukając korzeni.

– A jego matka?

– Nadal jej nie odnalazł.

Micki otworzyła teczkę. Dobre kłamstwo zawiera pierwiastki prawdy. Im bardziej elementarne są owe pierwiastki, tym wiarygodniejsze staje się kłamstwo. Prawda: Sammy O'Shay był, podobnie jak jego żona, kapitanem; zginął na służbie podczas uderzenia huraganu Katrina. Prawda: miał brata, Seana, który niedługo potem odszedł ze służby i przeprowadził się z żoną na Florydę.

Trzecia prawda, co oczywiste, musiała dotyczyć siostry.

– Sammy naprawdę miał siostrę o imieniu Erin, która uciekła w wieku siedemnastu lat – powiedziała Micki.

Kapitan O'Shay powtórzyła jej gest.

- To była niespokojna dusza. Wiecznie pakowała się w kłopoty. Kiedy uciekła z domu, była już w ciąży. A przynajmniej tak twierdziła.
- Sammy nie próbował jej odnaleźć?
- Próbował, szukali jej razem z Seanem. Bez skutku.
- Co wiadomo o jej dziecku?
- Nic. Nie wiemy nawet, czy rzeczywiście urodziła.
- A adopcja? To też zmyślenie?
- Nie do końca. Detektyw Harris naprawdę został adoptowany. Jedyne, co wie o swojej biologicznej matce, to że była młoda i pochodziła z Południa. Micki się zastanowiła.

- Awans Carmine'a... Pociągnęła pani za odpowiednie sznurki.
- Tak – odparła kapitan i zamilkła. – Jak zatem pani widzi – dodała
- w razie czego to ja będę do odstrzału.

Owszem, ale Harris też. Bez wątpienia. A także Micki – w zależności od stopnia jej zaangażowania.

- Panie komendancie, z całym szacunkiem, ale... do dupy to. Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.
- Witamy w programie Szóstek, pani detektyw Dare. Ma pani godzinę na zaznajomienie się ze swoją rolą. Potem przyjedzie Szóstka, a wtedy: do dzieła!
- Do dzieła – powtórzyła z powątpiewaniem.
- Gratulacje, pani detektyw. Dziś przyszłość ma swój początek.